

Rok V.
Kraków, dnia 17 grudnia 1911 r.
Nr. 51.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Roraty.

Skryte gwiazd blaski wśród chmur powodzi,
Skryte w niej niebios obszary.
Ciemno i głucho, choć już nadchodzi
Poranek szary.

Noc się unosi jeszcze nad ziemią,
Śpiącą w srebrzystej pościeli...
A śnieg na strzechach, co cicho drzemią,
Srebrzy się, bieli.

Wtem dźwięczny dzwonek się rozkołysze
Na starej wieży kościoła...
Głos jego płynie, zamąca ciszę
Wśród chatek sioła.

Jak na skinienie czarownej laski,
Przez chatek szybki ozdobne
Kwiatami mrozu wychodzą blaski,
Przez okna drobne.

Świecą okienka, jak gwiazdki, jasno,
Gdy niebios złocą sklepienie,
Lecz wnet powoli, po jednem, gasną,
Padają cienie.

Drogami, kędy wydmy śnieżyste
Wiatru naniosły podmuchy,
Idą wśród mroków ludzie, jak mgliste
Mary i duchy.

Z okien kościoła, co ponad sioło
Wzniosł w mrok spowity szczyt wieży,
Światło się leje na śnieg, co wkoło
Na ziemi leży.

A przy ołtarzu ksiądz pleban stary,
(Siwizna skronie mu bieli),
Śpiewa modlitwę świętej ofiary:
Rorate, coeli!

A lud zapełnił całą świątynię,
Przed Stwórcą swoim się ścieli,
A z piersi wszystkich pieśń w niebo płynie:
Rorate, coeli!

I ginie hen gdzieś za niebios progiem,
Kędy śpiewają anieli
I wtórzą ludzkim prośbom przed Bogiem:
Rorate, coeli!

Arkadyusz Szarek.

„Za krzywdy nasze".

(Z powodu zaboru Chełmszczyzny).

Kiedy pod Grunwald do boju z Krzyżakiem
Polskich Jagiełło prowadził rycerzy,
Już wówczas polski kmieć czuł się Polakiem
I prał Krzyżaka w obronie Macierzy.

Gdy znów Kościuszko pod Racławicami
Gromił zaborcze moskiewskie sołdaty,
Dzielny Głowacki wraz z kosynierami
Rozsławił kmieci, zdobywszy armaty.

I wtedy skoro źli Targowiczanie
Ojczyzny naszej rozbiór podpisali,
To wśród walecznych chłopi i mieszczanie
Za wolność Polski krew swą przelewali.

I gdy Ojczyzna w kajdanach spoczywa,
Gdy trzykroć darto kraj ten nieszczęśliwy,
Trzykroć się cały naród z bronią zrywa,
I w bój podąża młody czy sędziwy...

A dziś, Polaku! zobacz, co się dzieje!...
Wszak teraźniejszość nową rozpacz nieci!
Oto Poznańskie łzy żałości leje,
Gdy Prusak męczy nasze polskie dzieci!

Wszak tam chłop mieszka w powozie cygańskim,
Bo mu rząd domu stawiać nie pozwala.
A tu znów Moskal zwyczajem pogańskim
Wszak czwarty rozbiór Ojczyzny uchwala!

Dziś Polak własnej broni nie posiada
Chociaż nią umie tak sławę zdobywać,
Bezkarnie Moskal w Chełmszczyznę się wkrada
I swą prowincyą każe ją nazywać.

Ale, Polacy, nie traćmy nadziei,
Choć Bóg na kraj nasz zsyła krzyżów wiele —
Błyśnie nam wolność z pośród mąk zawiei
Gdy z kości naszych powstaną mściciele!

Dziś, ludu polski! gdy Moskal zuchwały
Znów czwarty rozbiór Ojczyzny uchwala
Oby się głosy protestu ozwały,
Że lud ten kurczyć Polski nie pozwala!

I choć cierpliwie lud ten krzywdy znosi,
To gwałt ten nowy krew jego rozpala
I w sercu swojem myśl odwetu nosi
I woła pomsty na wroga Moskala!

I gdy czas przyjdzie rozkazu od Boga
Iść za Ojczyznę i za dawne grzechy
Krew naszą przelać, o Ojczyzno droga!
To nas nie braknie z pod słomianej strzechy.

Józef Wojnarowski.
włościanin z Szczereża.

Rozbójnicze gniazdo.

XX.

Dwór Korczaka. — Przybycie Janasza. — Rozgospodarowanie się. — Spotkanie się z księdzem. — Korczak wyprawia Janasza do Lublina.

Macienczyn, dwór pana Korczaka, o parę mil od Sandomierza, znany był wkoło na mil wiele, jako miejsce, które ludzie w największej nawet potrzebie schronienia omijać musieli. W pośród starych drzew, których gałęzie z kory były poodzierane, opasana połamanemi płotami, stała przy kupie gruzów, na starem pogorzelisku, porosłem chwastami, murowanka, która snać z niedogorzałego dworu dawnego pozostała. Wieś nieopodal, rozłożona nad rzeczułką, daleko zamożniej wyglądała od dworu.

W dzień zimowy, furka, dosyć nędzna, stanęła u wrót dworu, których otworzyć nie było komu. Dwa brzydkie psy, z siercią najeżoną, wyskoczyły, ujadając ku bramie; postać jakaś, w kożuszku brudnym, ukazała się na progu murowanki i znikła. — Mężczyzna młody wysiadł z sanek i począł furtki szukać dla wnijścia, ale tej nie było, i wrota trzeba było, zasypane śniegiem, odsunąć nieco, aby się dostać w podwórze.

Widząc, że przybyły tak stanowczo się dobija, wyszedł chłopak odarty z chałupy.

— Jest pan Korczak w domu? — zapytał gość.

Chłopak patrzył i milczał, nie śmiał odpowiadać. Po chwili zapytał sam.

— A wasza miłość kto?

— Pytam cię o pana.

— Albo ja wiem.

Postać w kożuszku pokazała się w progu, chłopiec na nią rękę zwrócił.

Przybyły, broniąc się, jak mógł, psom, zbliżył się do murowanki. Po kilkakroć stojący tam w kożuszynie, to chował się, to pokazywał.

— Pana niema w domu! niema w domu — rzekł wkońcu zdala.

Przybyły roześmiał się smutnie:

— Ale, panie Korczak, samże nim jesteś.

Kożuszek się schował i znowu wyszedł. Rękę do oczu przyłożył.

— Nie mam honoru znać!

— Jakto! w Krakowieśmy się spotkali! Przypomnij pan sobie! Korczak Janasz.

— E? nie przypominam.

— U Zbylutowskich, w gospodzie.

— Gdzie? kiedy to było? w Krakowie?

— Ale niedawno. Kazałeś mi pan pisać do Macieńczyna, wolałem przybyć sam.

— Kto taki? kto?

— Korczak.

— Jaki Korczak? Korczaków teraz jak grzybów narosło.

— Aleś mi pan kazał przybyć!

— Ja? śniło się! hm! ja?

— Przypomnij pan sobie.

Zamyślił się stary i ustami zaczął robić, jakby co przeżuwał.

— A no? a no? Nie chciałeś waszmość mnie, kiedym ja go prosił. Przyszła koza do woza: teraz ja waszmości nie potrzebuję. Widzisz sam, jaka tu nędza! hę? co?

Janasz popatrzył nań, skłonił się i już chciał odchodzić.

Stary za nim oczyma powlókł i zawołał:

— Stój waszmość, czekaj. U mnie w izbie nie palono, ale na kominek trzasek przyniosą, chodź się ogrzej z drogi, chodź.

Janasz się zawrócił. Przez bardzo brudną sionkę weszli do izby, której okna były tak pozamarzałe i brudne, że w niej o białym dniu mrok panował. Tu stał stół prosty, nakryty wyszarzanym kilimkiem w pasy, poodzieranym po końcach, kilka stołków i szafa, pomalowane niegdyś niebiesko. Komin wystygły, pełen był popiołu i śmiecia, w rogu izby leżała kupa rzepy, pokrytej słomą, a woń od niej rozchodziła się szeroko.

— Siadaj, gołąbku, siadaj — rzekł Korczak — zawsze tu zaciszniej, niż na podwórzu. Ja ciepła nie mogę znieść, odwykłem, choruję od niego; a z daleka, kochanie?

— Z Podlasia.

— Kawał drogi, a dokąd?

— Sądziłem, że do Macieńczyna.

Westchnął stary.

— A cobyś ty tu robił, kochanie? Ty, widzę, słabowity, delikatny, do ciepła przywykły, do gorącej strawy, do przysmaków, do mięsa, a u mnie tu bieda. Ja żyję chlebem i wodą, szczególniej teraz, w post.

Nie było co mówić ze starym, który oczyma świdrował przybyłego.

— Ano to prawda, że mnieby się do papierów pomoc zdała, ale u mnie praca i życie ciężkie. Inaczej zbawionym być trudno, gołąbeczku mój, człowiek się psuje, mięknie.

Janasz nie mówił nic.

Stróżka, istny obraz nędzy i brudu, niosąc trzaski w fartuchu, weszła hałaśliwie i spytała: gdzie zapalić?

Stary zawahał się nieco.

— Ano tu, tu.

Przysiadła więc przy kominie, usiłując ognia naniecić. Był to snać zwyczaj przy gościach. Trzaski dużo dymu wydały, dym z zimnego komina rzucił się na izbę i wkrótce jeszcze ciemniej było w niej, niż wprzódy, a do tego i duszno.

— To nic, kochanie, to przejdzie, zdrowo.

Rozmowa w czasie pobytu stróżki przerwała się zupełnie. Dopiero gdy ogień błysnął i kobieta, trzaskając drzwiami, wyszła, Korczak, westchnąwszy, począł znowu:

— Cóż ty, kochaneczku, myślisz teraz z sobą?

— Nie wiem — rzekł Janasz — dostanę się do Krakowa, do króla, a tam, co Bóg da.

Milczeli. Janasz patrzył w komin, opończą się okrył, bo w izbie było zimno, w rodzaju obojętnego osłupienia siedział, a stary mu się przypatrywał.

— Jegomość piszesz? kochanie moje.

Janasz się uśmiechnął.

— I po łacinie nawet, byłem-ci u księży Jezuitów w Lublinie.

— A prawa cokolwiek znasz?

— Tyle tylko, co się gdzieś posłuchało o niem z przypadku.

— Ale... nie święci garnki lepią — rzekł stary. — Byle ochota, kochanie.

— Nie mam jej — rzekł przybyły krótko.

Korczak ustami począł coś żuć znowu długo.

— Wiesz co, ja waszmości powiem, mój gołąbku, bo mi ciebie żal, żeby cię Turcy gdzie zabić mieli, bo ty taki prawdziwy jesteś Korczak. Posiedź tu u mnie sobie, tak dla wypoczynku, czasem dla zabawy co przepiszesz, czasem się przejedziesz. Jeść, no jeść, krupnik się znajdzie, jeśli już koniecznie trzeba; chleb razowy, bo to najzdrowszy, a wodę mam w studni, jakiej nigdzie na świecie niema. Odpić się nie można. Zobaczysz, ona cię odżywi. Trunki wszystkie dyabła warte, woda to boży trunek.

Janasz zamyślony nie odpowiadał nic.

— Izba jedna stoi próżna, ja ci ją pokażę, chodź, to tu przez drzwi.

Weszli do ciemnej sionki: z niej drzwi nie zamknięte prowadziły do izdebki tak brudnej, jak pierwsza, o jednem oknie. Tapczan w niej stał nagi, stołek jeden i skorupa pusta; zamiast podłogi, cegły leżały potłuczone na ziemi. W kącie piec bez drzwiczek, lepiony, wiał chłodem.

Straszne to było i przypominało mimowolnie Janaszowi tureckie jego więzienie. W niem nawykł on do wszystkich niewygód. Teraz było mu obojętnem, gdzie się podzieje, byle znaleźć przytułek.

Cicho więc odpowiedział Korczakowi, że zgadza się pozostać. Staremu oczy zabłysły.

— Ja ci, kochaneczku, nie obiecuję nic, pamiętaj to sobie dobrze; no, dach nad głową, dobre serce, nędzą się dzielę, ja sam biedny, widzisz.

Janasz mu odpowiedział, że niczego nie żąda. Tak tedy stanęła jakaś umowa i swój tłómoczek kazał Janasz przynieść do izby, postanowiwszy sam już ją sobie wyporządzić. Co dalej miał począć, dobrze nie wiedział.

Rozglądał się właśnie po tem nowem schronieniu, gdy Kożuszek powrócił.

— Ale oto, gołąbeczku — odezwał się — o jednej bardzo ważnej rzeczy zapomniałem. Pobożny jestem i Pana Boga chwalę. I ty, kochanie, do kościoła żebyś sobie poszedł pomodlić się, a! owszem, ale na plebanię, to wara! Kto u mnie mieszka, ten do proboszcza nie gada! To mój wróg. U ołtarza szanuję, ale więcej z nim stosunku żadnego. To sobie waruję: na plebanię żebyś nie chodził.

Janasz dziwił się niezmiernie.

— Czyżbyś mi pan miał bronić znajomości robić? — zapytał Janasz — a toćby była niewola, gorsza od tatarskiej.

Skwarka złożył ręce.

— Kochanie! gołąbku! nie bronię, tylko przestrzegam. Powiadam ci: sknera, skąpiec, dusigrosz. Ja się go boję, ja cię przestrzegam. Chytry... niebezpieczny...

Nie śmiejąc snać puszczać się w dalsze dowody, Korczak natychmiast się wysunął. Objęcie nowego mieszkania wiele pracy kosztowało Janasza, lecz było to razem zajęcie i rozrywka, której potrzebował.

Stary zdaleka przyglądał się z pewną nietajoną radością, jak sobie sam nosił wszystko, uprzątał gość miły. Z pozostałego grosza dokupił nawet, co było potrzeba, ażeby tę pustkę uczynić mieszkalną. Korczak udawał, że tego nie rozumie. W miarę jak izba stawała się schludniejszą, przychodził ją oglądać i cieszył się tem. Piec stanął nareszcie, a trzasek do niego i suszy Janasz przysposobił sobie sam, z pomocą najętego ze wsi parobka.

Korzystał z tego Korczak po cichu i wieczorem temi drewkami sam potajemnie u siebie palił.

Trzeciego dnia wszedł zrana, uprzejmy, jak zawsze, utyskując nad tem, że teraz, gdy już do roboty nic nie ma, Janasz się nudzić może.

— Ja mam tu papierek, możebyś sobie dla zabawki przepisał — rzekł — dokumencik wielce zajmujący w sprawie granicznej.

Janasz wziął się do przepisywania. Charakter podobał się staremu.

— O! o! jak to pisze! — zawołał — adwokacka ręka! wyraźnie, czysto i ślicznie.

Znalazły się zaraz i inne dokumenciki, nader interesujące, do przepisywania. Jeść nie było wiele, ale Korczak sobie pomagał tem, że przechadzając się, wstępował do karczmy, gdzie parę jaj a czasem ryby gotowanej mógł dostać. Na utrzymanie życia to starczyło.

W jednej z tych popołudniowych przechadzek przez wieś idąc, Janasz spotkał duchownego, mężczyznę słusznego wzrostu, z laską w ręku, który mu się pilnie przypatrywać zaczął. Szlachetne rysy twarzy, energii pełne, oczy bystre, ruchy żołnierskie prawie, zastanawiały w przechodzącym. Łatwo się w nim było domyślić owego księdza, przeciw któremu ostrzegał Skwarka gościa swego. Obudzało to ciekawość raczej, niż odstręczało. Janasz ukłonił się zdala, ksiądz mu oddał ukłon i zbliżył się uśmiechając:

— Ze dworu waszmość? prawda? — zapytał — nowa ofiara tego pająka? Już tedy ma znowu kogoś w świecie? A pewnie cię ostrzegał, żebyś od księdza był zdaleka?

Obcesowe to nieco powitanie trochę z początku zdziwiło Janasza, ale wprędce przyszedł do siebie.

— A wiesz, dlaczego ci kazał od księdza trzymać się zdala? — ciągnął dalej proboszcz, wywijając laską. — Dlatego, że ja wszystkie jego sprawki znam, że go na wylot rozumiem i że radbym z jego szpon wydrzeć każdego, kto w nie wpadnie.

Janasz milczał z początku.

— Przebaczysz mi, mój ojcze — odpowiedział — wszyscyśmy nieświęci i potrzebujemy miłosierdzia dla wad naszych.

Roześmiał się proboszcz.

— To coś szczególnego! waszmość czujesz się w obowiązku starego bronić?

— Bo ja nie potępiam nikogo.

Popatrzył nań ksiądz długo.

— Słyszałem, że się waszmość też Korczak zowiesz, czy krewny?

— Bardzo daleki.

— Cóż cię tu przypędziło?

— Łatwo się domyśleć, mój ojcze, bieda.

Proboszcz zdawał się być ciekawym. Janasz nie miał powodu taić, ale nie chciał też spowiadać się, kładąc winę na miecznika, część więc życia pokrył zupełnie, mówił tylko o niewoli, o spotkaniu z Korczakiem i o schronieniu, którego potrzebując, tutaj znalazł.

— Bardzo mi waćpana żal — rzekł ksiądz — że cię losy do tego sknery zagnały, ale to wasza rzecz. Ino słuchaj, jakbyś z głodu marł, przyjdź do mnie na barszcz.

To mówiąc, poszedł żwawo, wywijając laską.

Zaledwie Janasz do murowanki powrócił, gdy się drzwi otworzyły i Kożuszek, straszliwie przeżuwając i gębę krzywiąc, co było u niego znakiem zakłopotania i złego humoru, wsunął się.

— A co? jużeście się z księdzem zetknęli? — wybuchnął — cóż ci mówił, gołąbku? wieszał psy na mnie?

— Nie, bo jabym tego nie zniósł — odparł Janasz.

Korczak spojrzał zdumiony, prawie uszom nie dowierzając.

— Aniołku, serce, chyba kłamiesz? — odparł po chwili. — Ja mam takie szczęście psie do ludzi, że mnie nikt nie dał poczciwego słowa.

— Ja nigdy nie kłamię — rzekł krótko Janasz.

— A to z ciebie, gołąbku, bardzo porządny człowiek — odezwał się stary. — Są tacy ludzie, co wszystko miodem smarują w oczy, znałem takich, ale za oczyma dziegciem, może ty do nich należysz?

— Przekonasz się pan — rzekł Janasz krótko, chcąc przerwać rozmowę.

Milcząc, dobył Korczak plik papierów z za kożuszka i położył go przed Janaszem.

— Żebyś się nie nudził u mnie — szepnął.

Podszedł ku drzwiom i wrócił.

— Miałem jeszcze jednę propozycyjkę do zrobienia. Młodemu ruch potrzebny, to ja wiem. Jabym ci furkę dał do Lublina, mam sprawkę w trybunale. Jest tam łotr, pijanica, zbój patron, co jej pilnuje, ale jego trzeba pilnować. Ze mną się obył tak, że mnie już nie ma za boże stworzenie. Możebyś ty się przewietrzył?

— Dlaczego nie — rzekł Janasz — pojadę.

— Zatem jutro do Lublina. Sprawę znasz, boś dokumenta spisywał. Sprawa złota, czysta, jasna, ale ją te jury-chwosty zagmatwali.

Janasz pojechał.

Tegoż samego dnia, ponieważ izba zajmowana przez Janasza i przez niego wyporządzona, była daleko wygodniejsza, Skwarka się wniósł do niej ze wszystkiem mieniem swojem.

— Młodemu to wszystko jedno — mruknął dla uspokojenia sumienia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W adwencie.

Ciężko zgrzeszyła ludzkość w swem zaraniu,
Kiedy odwrócił Bóg od niej obliczem,
Cztery tysiące lat smagał ją biczem,
Póki się nie dał przebłagać w karaniu —
I zesłał Syna Swojego na ziemię,
Który odkupił biedne ludzkie plemię...

Bóg miłosierny wypędzonym z raju,
Pierwszym rodzicom nie odmówił łaski
W swojej Dobroci niezmierzonej Pańskiej,
Ale im wskazał Wielką Matkę w maju,
Co zetrze głowę węża piekielnego
Podnóżkiem Swoim światła miesięcznego...

Tego już oni doczekać nie mieli;
Grzech pierworodny przeszedł na ich dzieci,
Wszyscy ulegać mieli tutaj śmierci,
Do nieba jednak nie mogli, choć chcieli,
Iść, bo Bóg zamknął swe niebieskie bramy,
Chociaż wołali: Boże Cię kochamy!...

I aby ludzkość odczuła swe winy,
Wielką doniosłość straconego nieba,
Nietylko ciężko pracuje dla chleba,
Dla swej postaci ulepionej z gliny,
Lecz z utęsknieniem czeka na zbawienie,
Syna Bożego na ziemię wstąpienie.

Zsyła tymczasem Bóg Swoich proroków:
Ci krzepią lud swój w objawionej wierze,
Z nich naród ufność swą ku Bogu bierze
Śród bałwochwalstwa i ciemnoty mroków —
Aż upłynęło lat cztery tysiące
I Bóg pocieszył dusze się modlące...

Polska taksamo adwent swój przeżywa
Za winy swoje — czeka lepszych czasów,
By się oczyścić z czasów królów Sasów
I zbiera z trudem swoje polskie żniwa —
A tą rękojmią i znaczeniem w słowie,
Jest to Królowa Polska w Częstochowie...

Adam Jesionek.



Utarczka z podjazdem szwedzkim.

Gawędy o Różnych Sprawach.

DOBROBYT.

W stosunku do krajów innych państw jesteśmy bardzo biedni. Nie znaczy to, żeby nasz kraj nie zawierał żadnych bogactw i zgóry był przeznaczony na wieczną biedę. Owszem, nasza ziemia należy do urodzajnych, posiada we wnętrzu ogromne skarby górnicze, choćby wyliczyć głośne źródła nafty na wschodzie Galicyi, olbrzymie pokłady węgla w Galicyi zachodniej i pokłady soli kamiennej. A ileż to naturalnych bogactw naszego pięknego kraju spoczywa niewyzyskanych, a to tylko dlatego, że oświata jest u nas bardzo niska i mało mamy przedsiębiorczości. Dlatego, mówiąc o drogach, które wiodą do dobrobytu, na pierwszem miejscu musimy postawić oświatę. Oświata jest największym wrogiem biedy i wszelkiego zła. W którym kraju wielka oświata, tam na pewno można przypuścić, że jest także wielki dobrobyt i naodwrót, gdzie w kraju panuje ciemnota, gdzie niema dobrych szkół, lud się niczego nie uczy, nawet czytać i pisać nie umie, to z zamkniętemi oczyma można powiedzieć, że tam bieda, i to tem większa, im mniejsza oświata. Oświata uczy, jak należy uprawiać rolę, jak należy unikać chorób. Im większa w kraju oświata, tem mniej zbrodni, pijaństwa, ludzie oświeceni panują więcej nad swoją wolą, pracują umiejętniej, oszczędzają i mniej się między sobą procesują. Brak oświaty u wielu naszych wieśniaków robi, że na obczyźnie prędko wynaradawiają się, jeżeli tylko nie żyją gromadnie; dzieci posyłają do szkół obcych np. niemieckich i w ten sposób zapierają się swej ziemi, ojczyzny i swych dziadów, pradziadów, którzy setki a może i tysiące lat na tej ukochanej ziemi polskiej żyli i mówili piękną mową polską.

Trudno wyliczyć dobrodziejstwa, jakie płyną z oświaty; dlatego wydatki na szkoły nigdy nie są za wielkie i powinniśmy się starać, aby nietylko siebie, ale przedewszystkiem dzieci nasze wykształcić, a to żeby rolnik umiał dobrze uprawiać rolę i obchodzić się z bydłem, żeby szewc dobrze i uczciwie buty robił, kupiec znał się na handlu itd.

Mimo, że się nazywamy krajem rolniczym, to jednak u nas rolnictwo nie stoi wysoko. Przy umiejętnej gospodarce możnaby z roli daleko większe zyski wyciągnąć, gdyby rolnik tak uprawiał ziemię, jak n. p. na Morawach ję uprawiają i w zachodnich państwach.

Wiadomo np. że sady są u nas zaniedbane. Miasta nasze dużo potrzebują dobrych owoców. Tymczasem mamy bardzo mało szlachetnych owoców: jabłek, gruszek itp. W jesieni widzi się nieraz na targach krakowskich setki koszów z jabłkami, lecz ambitna, rozumna gospodyni, która wie, jak dobre jabłko powinno wyglądać, wstydziłaby się wystawiać te jabłka na sprzedaż i zalecać je jako dobre. Sprowadzamy więc owoce obce i miliony rok rocznie płyną za granicę. A pielęgnowanie sadu nie kosztuje wiele, ani pieniędzy ani pracy, zato wymaga trochę nauki i starania.

Drugi przykład: Niema prawie kraju w Europie, w którymby gospodarstwo rybne było tak zaniedbane, jak u nas. A ileż to u nas jest nieużytków, ile stawów leży odłogiem. Tylko gdzieniegdzie rozumne dwory, np. koło Oświęcimia, Zatora, mają piękne rybne stawy i ciągną też z nich wielkie korzyści. Za granicą, w Prusiech, Bawaryi, Szwecyi, Norwegii, we Francyi, rybactwo rozwinęło się ogromnie. Włościanie tamtejsi każdy kawałek gruntu, który się nie nadaje do uprawy roślin, o ile tylko można, zamieniają w staw. Ale to nie dosyć zrobić staw. Trzeba wiedzieć jak? Czy woda jest odpowiednia. Ile ma być głęboki, jakie ryby należy w nim hodować i jak się z rybami obchodzić. Jak olbrzymiej doniosłości jest dla rolnika, czy mniejszego czy większego, posiadać dobrze pielęgnowany staw. Kiedy grady lub długie deszcze zniszczą zboże, ziemniaki, trawę, kiedy przyjdą nieurodzaje, pozostaje dla rolnika tylko staw i on go może niejednokrotnie uchronić od nędzy. Bo staw nie ma tylu niebezpieczeństw, tylu wrogów, co ziemia uprawna. Przytem utrzymanie stawu kosztuje bardzo mało. Poza jednorazowym wydatkiem na założenie stawu i na inne urządzenia, na sypanie grobli, kopanie rowów głównych i bocznych, to dalsze koszta są prawie żadne. Potrzeba jednak nauki, jak się hoduje ryby, bo rybactwo tak zwane dzikie, niewiele przyniesie gospodarzowi pociechy.

Udowodniono, że jeden mórg stawu przynosi przeciętnie w roku 200 koron czystego dochodu, a więc bez porównania więcej, niż dobrze uprawna i urodzajna ziemia, a przy stawie nie potrzeba pieniędzy ani na orkę, ani na robotnika, o którego i tak teraz bieda, nie potrzeba też trapić się, że może grad przyjść i wybić ryby, jak zboże. Jedyne, co może grozić rybom w stawie, to zatrucie stawu jakąś zbrodniczą ręką, lecz od złego człowieka i zboże, chudoba a nawet całe gospodarstwo się nie ustrzeże.

Ryby obecnie są drogie i dużo ich potrzeba. Galicya za same śledzie wydaje za granicę około 5 milionów koron. W razie rozwoju rybactwa w naszym kraju spożywanoby ryb, czy to świeżo przygotowanych czy to suszonych, wędzonych lub marynowanych za dziesiątki milionów koron. Pomyśleć tylko, o ileby się u nas przez to ogólna bieda zmniejszyła. To też tak mądre państwa jak: Francya, Anglia, Bawarya, Szwecya otaczają rybactwo wielką pieczołowitością. Istnieją tam osobne zakłady naukowe, które kształcą, jak należy hodować ryby.

I u nas w Krakowie istnieje krajowe Towarzystwo rybackie, które zajmuje się popieraniem hodowli ryb. Prezesem jego jest profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Dr. Julian Nowak. Zajmuje się ono także zarybianiem stawków włościańskich. W roku 1911 wydało Towarzystwo na zarybienie stawków włościańskich 39.940 sztuk narybku karpia, a rozpuściło w Wiśle, w Dniestrze i Bugu z dopływami 3 miliony narybku sandacza, a w Dunajcu i Rabie z potokami narybek łososia i pstrąga. Towarzystwo to wydało broszurę o hodowli ryb w małych stawkach, napisaną przez Dra Ferdynanda Wilkosza.

Z nadejściem wiosny krajowe Towarzystwo rybackie w dalszym ciągu będzie się zajmowało zarybianiem stawków włościańskich w całym kraju, będzie przytem pouczało wieśniaków o rozumnej hodowli ryb.

Kto więc pragnie założyć sobie stawek, niech się uda o poradę do prezesa tego Towarzystwa pod adresem: Prof. Dr. Julian Nowak, Kraków, Uniwersytet Jagielloński. Od Towarzystwa dowie się, czy ma odpowiedni grunt i wodę na założenie stawku i ewentualnie otrzyma narybek, oraz ową ciekawą książeczkę Dra Ferdynanda Wilkosza pod tytułem: »O hodowli ryb w małych stawach«.

Dr. Wł. Stawowczyk.

Podróż do nieba.

(Humoreska).

W pewnej miejscowości był bogaty pan, który bardzo pragnął, żeby się mógł dostać do nieba. — W tym celu modlił się bardzo i wypełniał różne dobre uczynki. Miał on jednak tę wadę, że bardzo nie lubił ubogich, co po wsi chodzą. Gdy jaki dziad przyszedł do dworku, zaraz pan dziedzic kazał go lokajowi wyciągnąć na ławie i wsypać mu 25 kijów i nic mu nie dał na drogę.

Pewnego razu przyszedł do pana dziedzica jakiś nieznajomy dziad, silny, barczysty i nie bardzo stary, który również dostał to, co i drudzy. Dziad wyszedł ze dworu i myśli, jakby się zemścić na dziedzicu. Dowiedziawszy się we wsi od ludzi, że pan dziedzic pragnie dostać się do nieba, umyślił dziad, co zrobi. W tym celu wywiedział się z boku od ludzi, to od dworaków, kiedy, gdzie i którą drogą pan dziedzic pojedzie. Gdy się już na pewno dowiedział, poszedł do kramu, nakupił kilkadziesiąt świeczek, a wiedział, że dziedzic pojedzie w nocy do miasta, poszedł tą drogą zaraz z wieczora. Stała tam w polu rozłożysta lipa. Wlazł dziad na nią, poprzyczepiał wszystkie świeczki na gałązkach lipy dokoła. Potem zdjął ze siebie całe ubranie, położył na kupie pod lipą, a sam wlazł na lipę, pozaświecał wszystkie świeczki, usiadł na samym czubku drzewa i czekał.



Gdy usłyszał, że jakiś powóz nadjeżdża, zaczął sobie nucić jakąś piosnkę, niby nabożną. Właśnie tym powozem jechał dziedzic. Kiedy zobaczył tyle światła na lipie, kazał furmanowi zatrzymać konie, i, choć się trochę bał, przypatrywał się ciekawie świecącej lipie. Usłyszał też nabożne śpiewanie. Zaciekawiony, wpatrując się lepiej, zobaczył człowieka, siedzącego prawie nago. Jeszcze się bardziej przeląkł, ale się odważył i zapytał:

— A kto tam?

— A ja, ubogi człowiek, który się nie ma gdzie podzieć na świecie — odrzekł dziad. — Prosiłem Boga i wszystkich świętych, żeby mię wzięli z tego świata do nieba. I tak mnie widać wysłuchali, bo gdym pod tą lipą siedział, przyszło kilku aniołów z nieba, pozaświecali świeczki, które ze sobą przynieśli, kazali mi się rozebrać i wleźć na to drzewo. Za trochę przyjdą po mnie, bo poszli po niebieskie ubranie dla mnie. Już ich widzę, jak się tam uwijają.

Pan dziedzic pomyślał trochę, zebrała go ochota, żeby i on mógł iść do nieba, którego tak dawno pragnie. Odzywa się więc do dziada:

— Możebym i ja poszedł do tego nieba z tobą, człowieku? żebyś ty poprosił tych aniołów, ażeby mnie wzięli razem z tobą.

— Tak to się sztuka nie uda — odpowiedział dziad — bo mnie tylko dlatego wezmą do nieba, że jestem biedny, nie mam ani chaty, ani żadnego majątku na ziemi. Ale, jak widzę, pan jest bogaty, to dla takiego tam miejsca niema za żywota. Chyba, żeby pan chciał — mówi dziad dalej — to żeby się rozebrał i wlazł na to drzewo, a ja zlazł. To jakby anieli nie zmiarkowali, toby myśleli, że to ja i wzięliby pana do nieba. Ale jabym chciał, żeby mi pan co dał za to.

— Ja ci wszystko dam, co tylko posiadam — odrzekł pan — tylko zleź i wsiądź na mój powóz, jedź do dworu i bądź panem.

— No to zgoda — odpowiedział dziad i zlazł z drzewa, a pan rozebrał się i wlazł na drzewo.

Dziad wdział pańskie ubranie a swoje zostawił pod lipą, wsiadł do powozu i kazał furmanowi jechać do dworu. Przez drogę opowiedział furmanowi, co zrobił i za co tak pana wyprowadził w pole, lecz zakazał mu, żeby nic nikomu nie opowiadał do rana.

Gdy zajechali do dworu, służba powychodziła do usług panu, ale nikt nie poznał, że to ktoś inny, Dziad, podjadłszy sobie, poszedł spać do łóżka.

Pan siedział i siedział na lipie, a tu aniołów jak nie widać tak nie widać. Póki się świeczki świeciły, to jakoś mu było weselej, ale gdy się dopaliły, strach go ogarnął. Mimo to siedział i czekał, co dalej będzie. Wreszcie uprzykrzyło mu się czekanie, zaczął złazić na dół, gdy nagle przyleciała sowa, zatrzepotała na lipie i głośno zawołała: »Pójdź!«

Pan uradował się, że go anioł woła, czemprędzej więc wyłazi do góry, ale sowa się spłoszyła i poleciała, znów gdzieś daleko, wołając: »Pójdź!« Teraz dopiero zmiarkował, że się dał oszukać, ale nie wiedział komu, bo nie poznał dziada.

Zeszedłszy z drzewa, zamyślał teraz pan iść do dworu, bo się już dzień zaczynał robić. Ale jak iść nago? Wdziać te łachmany z tego dziada, było mu nie do smaku. Ale mus, to wielki pan. Wdział więc takie połatane, posmarowane dziadowskie ubranie i szedł wprost przez pola do dworu, żeby go mało kto widział. Wstydził się trochę, gdy przyszedł na dziedziniec, gdyż myślał, że go wszyscy poznają, ale go jakoś nie poznali, tylko wołali:

— Nie chodźcie tam dziadku, bo zamiast jałmużny, dostaniecie baty lub kije.

Ale ów rzekomy dziad nic nie pytał, tylko odrazu wszedł do pokoju. Jakże się zdziwił, gdy zobaczył tego człowieka panem, który go tak oszukał, gdyż myślał, że ten dziad na jego powozie, Bóg wie gdzie, pojechał i że to był złodziej.

Ale jeszcze nie koniec na tem! Dziad ów, który nagle stał się panem, zapytuje przybyłego ostro:

— O czem?

Pan zaś, stojąc w dziadowskim stroju, nic nie odpowiada. Wtedy ten nowy pan zawołał lokaja, kazał wyciągnąć przybyłego dziada na ławie i odliczyć mu 25 batów. Lokaj był zwyczajny do tego rozkazu, więc bez słowa spełnił polecenie.

Gdy lokaj wyszedł, dziad zdjął ze siebie pańskie ubranie, a wdział nazad swoje i powiada panu:

— Teraz możesz pan iść do nieba, boś już oczyszczony!

Pan nie śmiał nikomu w oczy spojrzeć, bo go wstyd było, dał dziadowi za wyćwikę kilka złotych i prosił go, żeby o tem nikomu nie opowiadał. Ale gdzieby dziad nie powiedział! Ledwie wyszedł ze dworu, zaraz na wsi rozpowiedział, a ludzie do rozpuku się śmiali z tego. Odtąd każdy dziad dostawał jałmużnę w tym dworze. ***Władysław Wołowiec.***

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

IV.

Nazajutrz rano otrzymałem od Kurdybanka zawiadomienie, że markiz obejrzał dom w »Ogrodzie Róż«, że go wynajął, oraz że wybiera się wieczorem do teatru.

Mając tę wiadomość, kupiłem zaraz dwa bilety do krzeseł do teatru i jeden z nich posłałem Rabinowiczowi, prosząc go, by w wiadomym interesie był dziś koniecznie w teatrze.

Kiedym wszedł do teatru, sztuka już się rozpoczęła; naumyślnie bowiem później przyszedłem, żeby przez czas aktu pierwszego można widzieć markiza, nie zwracając na siebie uwagi. Rabinowicza już zastałem. Mieliśmy miejsca w środkowych rzędach krzeseł. Przedewszystkiem począłem upatrywać markiza. Siedział w pierwszym rzędzie, cały zajęty grą aktorów. Ja z Rabinowiczem umieszczeni byliśmy z boku nieco, mogłem więc, acz niedokładnie, obserwować markiza.

Gdy akt pierwszy odegrano i spuszczono kurtynę, rzekłem do Rabinowicza:

— Podnieś się pan, panie Szmul i patrz, czy w pierwszym rzędzie krzeseł niema Jeniczanka.

Sam zaś, pochyliwszy się nieco, ukryłem się za plecami mych sąsiadów, tak, że mogłem doskonale widzieć markiza, nie będąc sam widzianym. Rabinowicz podniósł się, stanął i wpatrzył się w markiza. Przez chwilę ten ostatni, błądząc wzrokiem po publiczności, miał wyraz twarzy spokojny, wesoły, obojętny; nagle drgnął, zbladł, usta mu poczęły trząść się gwałtownie i odwracając się szybko, usiadł.

W tejże chwili Rabinowicz, siadając przy mnie, szepnął:

— Tak, panie, to ten łajdak Jeniczanek.

Serce biło mi jak młotem i kiedym dostrzegł na twarzy markiza gwałtowne pomieszanie, uczułem niewysłowioną radość.

— A więc drżysz, hultaju — szeptałem — otóż mam cię!

Tymczasem markiz, posiedziawszy chwilę nieruchomie, jakby skamieniał, nagle podniósł się, przecisnął się szybko między swymi sąsiadami i wyszedł. Nie chcąc, żeby mnie spostrzegł, a tem samem wiedział, że ja mu urządziłem ten krwawy żart, poczekałem jeszcze chwilę, poczem, pożegnawszy Rabinowicza, wyszedłem. Szybko przebiegłem przez korytarze i kiedym stanął na ulicy, dostrzegłem, jak markiz siadał do dorożki i usłyszałem jego głos:

— W aleję Ujazdowską. »Ogród Róż«, jedź co masz sił!

Co do mnie, ruszyłem wolnym krokiem do domu. Pierwsza więc moja próba powiodła się i byłem z tego niezmiernie zadowolony. Przekonała ona mnie najoczywiściej, że sprawa kradzieży z kasy austryackiej nie wydaje się markizowi bardzo zapomnianą i bardzo bezpieczną, i że korzystając z tego, może się uda wyciagnąć zeń potrzebne zeznania. — Mając więc już podstawę, postanowiłem jutro lub pojutrze wykonać drugi krok, zadać drugi cios, który albo będzie zwycięztwem albo niedolą całego życia.

Powróciłem do siebie i miałem już iść spać, gdy nagle otrzymałem od Kurdybanka kartkę tej treści;

»Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Musiało się coś ważnego stać dziś wieczór, bo JW. markiz, powróciwszy do domu przed skończeniem teatru, kazał natychmiast zamówić powóz pocztowy na jutro na godzinę 7 rano, a sam pakuje się i pisze listy. Co mam robić?

F. P. Kurdybanek.

Kartka ta była pisana ołówkiem, z widocznym pośpiechem. Przeczytawszy ją, nie zawahałem się ani chwili.

— Tem lepiej — powiedziałem sobie — wszystko się za jednym zamachem skończy. Teraz jest godzina 12, markiz ma wyjechać o 7 — mam więc dosyć czasu.

Siadłem też zaraz i napisałem następnych kilka słów:

»Warszawa dnia 10 lipca, godzina 12 w nocy. Idę do Jana Jeniczanka, Czecha rodem, niegdyś intendenta armii austryackiej, zowiącego się także markizem Don Diego Cantalacillo Fontiveras, zamieszkałego od paru dni w alei Ujazdowskiej, w miejscowości zwanej »Ogrodem Róż«, w celu wydobycia z niego zeznań w sprawie »wezyrskiego rubinu«. — W tej chwili, w której ten list zostanie otwarty, ja już nie żyję«.

Tak napisaną kartkę włożyłem w kopertę, którą zapieczętowałem herbowym moim sygnetem i na wierzchu napisałem te słowa:

»Upoważniam W. Mecenasa U. do otwarcia niniejszego listu, dnia 11 lipca r. b. o godzinie 6 rano i postąpienia jak należy. *Kazimierz Kosa*«.

Poczem, wziąwszy ze sobą ogłoszenie znalezione w sali magistratu stopnickiego, siadłem do dorożki i kazałem się zawieść na Krakowskie Przedmieście, do mieszkania mecenasa U. Zacny ten człowiek, choć było już dość późno, przyjął mnie grzecznie, acz nieco zdziwiony moją niezwykłą wizytą.

— Panie mecenasie — rzekłem — daruj, że cię fatyguję o tak późnej godzinie, ale interes wielkiej wagi. Oto składam na pańskie ręce tę paczkę i błagam pana, czuwaj tę noc: gdybym do godziny 6 rano nie wrócił, albo własnoręcznem pismem nie dał panu znać o sobie, otwórz ten list i działaj jak uznasz za stosowne.

Mecenas wziął list, przeczytał napis na jego kopercie, spojrzał na mnie uważnie i rzekł:

— Rozumiem cię, panie Kazimierzu, ano niech Bóg prowadzi. Zrobię jak każesz.

— Jeszcze jedno — rzekłem na to — bądź pan łąskaw dać mi pokwitowanie z odbioru tego listu.

Usiadł zaraz i za chwilę wręczył mi kartkę, opatrzoną jego podpisem treści następującej:

»Zaświadczam, jako w dniu dzisiejszym t. j. 10 lipca r. b. o godzinie 12 w nocy, odebrałem od papana Kazimierza Kosy opieczętowany list, który, w razie, gdyby wyż rzeczony pan Kazimierz Kosa nie stawił się u mnie jutro tj. dnia 11 lipca o godzinie 6 rano w swej własnej osobie, obowiązuję się otworzyć, przeczytać i postąpić jak okoliczności tego będą wymagały.

Warszawa dnia 10 lipca 1810.

mecenas Franciszek U.«

Było to aż nadto wystarczającem, podziękowałem więc zacnemu mecenasowi, który mię serdecznie uściskał, pożegnałem i wybiegłem.

Kazałem się wieźć w aleję Ujazdowską. Nie dojeżdżając do »Ogrodu Róż« kazałem się dorożkarzowi wstrzymać. Gdym mu płacił, rzekł do mnie:

— Czy mam na pana czekać? burza będzie, jakże pan wróci do domu?

— Nie czekaj, ja może wcale nie wrócę — odrzekłem spokojnie.

Przyznać się muszę, że z pewnem biciem serca dzwoniłem do małej furtki, umieszczonej w murze, który oddzielał »Ogród Róż« od ulicy.

Otworzył mi drzwi drab jakiś wysoki i spytał, mrucząc coś pod nosem:

— Czego pan chce?

— Chcę się widzieć z markizem Don Diego Cantalacillo Fontiveras, wszak jest w domu?

— Jest, ale o tej porze nie przyjmuje.

Wyjąłem talara i wsuwając go w łapę sługusa, rzekłem:

— Mój kochanku, ty znasz zapewne pana Kurdybanka?

— Ano znam.

— Otóż wiedz, że ja cię kazałem tu umieścić, wpuśćże mnie.

Drab zawahał się, ale wkońcu pod wpływem talara usunął się, wpuszczając mnie do środka.

— Pan markiz jest zajęty, proszę W. pana, ale pójdę i powiem mu o panu.

— Cóż markiz robi?

— Pakuje się, ale teraz pisze.

Służący wprowadził mnie do przedpokoju, w którym bezładnie leżały rozrzucone meble. Snać markiz nie miał jeszcze czasu urządzić się jak należy.

— Jak mam W. pana zameldować? — spytał mię drab.

— Powiedz, że Kazimierz Kosa w ważnym interesie chce się widzieć z markizem.

Służący wyszedł a ja zostałem sam. Po chwili służący wrócił i biorąc świecę w rękę, otworzył mi drzwi do sąsiedniego pokoju i rzekł:

— Pan markiz czeka pana.

Poczem ruszył ze światłem przodem. Przeszliśmy tak trzy pokoje, aż wkońcu służący, otworzywszy mi drzwi, wpuścił do pokoju, oblanego światłem czterech świec woskowych, gorejących w pięknym świeczniku srebrnym. Kiedym tu wszedł, drab zamknął za mną drzwi i zniknął.

Zostałem sam z markizem Don Diego Cantalacillo Fontiveras. Siedział on w miękkim fotelu skórzanym, przy wielkiem rzeźbionem biurku, które było wysunięte nieco na środek pokoju. Gdym wszedł markiz powstał i wpatrzył się we mnie swemi czarnemi oczyma, w których czytałem pewną obawę, a może tylko ciekawość i zadziwienie. Twarz miał bladą, włosy rozrzucone w nieładzie, a usta drżały mu kurczowo. Stał oparty jedną ręką o biurko.



Pozwolisz pan, że mu wręczę kartkę papieru.

— Pan Kazimierz Kosa – zawołał swym dźwięcznym głosem — piękną pan chwilę wybrałeś do odwiedzin: po północy, wśród łoskotu burzy... Proszę pana dalej.

I postąpiwszy parę kroków, podsunął mi krzesło, stojące tuż przy kominku, poczem uprzejmym gestem ręki poprosił mnie, bym usiadł, sam zaś stał ciągle.

— Cóż za interes sprowadza pana do mie? — spytał.

— Bardzo ważny, jak zresztą dowodzi tego godzina, o której do pana przyszedłem. Nakoniec nie miałem wyboru, za kilka godzin pan wyjeżdżasz.

— Ach! to pan wiesz o tem?

— Wiem.

— I w jakimże to celu, jeżeli wolno zapytać, zasięgałeś pan o mnie tak szczegółowych wiadomości?

— W tym celu, ażebyś mi się pan z rąk nie wymknął.

Zaledwiem to wyrzekł, markiz szybko posunął się do drzwi, zamknął je na klucz, który włożył do kieszeni. Poczem markiz, siadłszy przy biurku na fotelu, rzekł:

— Teraz możemy spokojnie rozmawiać, nikt nam nie przeszkodzi. Dlaczegoż to pan nie chcesz, żebym mu się wymknął?

— Dlatego, że pan niegodnie oskarżyłeś mnie o kradzież rubinu w zamku Grzymalskim, gdy tym czasem pan sam go ukradłeś!

Zaśmiał się na te słowa i usta mu drżeć jeszcze bardziej poczęły.

— Skądże to pan wiesz, że ja ukradłem ten rubin? — spytał zimnym, strasznym, przeszywającym głosem — masz pan na to dowody?

— Ja ich nie mam, ale przyszedłem do pana, byś mi ich dostarczył.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się szydersko — młodzieńcze, żartujesz, a ostrzegam cię, że ja żartów nie lubię. Cóż zrobisz, gdy ja ci ich nie dam.

— Oddam pana w ręce sprawiedliwości, jako człowieka, który przybrał tytuł markiza Don Diego Cantalacillo Fontiveras, gdy tymczasem właściwe jego nazwisko jest Jan Jeniczanek, niegdyś intendent armii austryackiej, który ukradł z kasy wojskowej w roku przeszłym 150 tysięcy guldenów.

Markiz wysłuchał tego spokojnie, choć był blady, strasznie blady.

— Maszże pan na to dowody, że ja jestem Jan Jeniczanek?

— Mam żyjącego świadka Szmula Rabinowicza, który poznał dziś w teatrze w osobie pańskiej Jana Jeniczanka.

W tej chwili, gdym to wyrzekł, markiz lekko odsunął szufladę biurka i włożył tam rękę, poczem usłyszałem trzask, jakby odwodzonego kurka od pistoletu.

— Czy wiesz, młodzieńcze, co cię czeka?

— Wiem — odrzekłem, nie drgnąwszy nawet — trzymasz pan w ręku pistolet nabity...

— A więc? — i lekko zaczął wysuwać rękę z szuflady.

— A więc możesz mię pan zabić, tem więcej, że ja jestem bezbronny, ale gdy mię pan dziś zabijesz, za trzy dni będziesz wisiał

— Ha! ha! — rzekł — chciejmy się porozumieć. W tym domu, oprócz służącego, któremu nie wolno zbliżyć się do tego pokoju i który w chwili tej jest na drugiej stronie, jestem tylko ja i pan. Musiałeś pan zauważyć, że dom ten jest w głębi ogrodu, dość oddalony od ulicy, na której zresztą o tej porze zapewne żywej duszy niema. Zresztą śród takiego trzasku burzy, jeden strzał pistoletowy nie zwróci niczyjej uwagi, choćby nawet ktokolwiek stał pod oknem i miał słuch natężony na to, co się dzieje wewnątrz tego pokoju. Pan jesteś bezbronny, jak sam mówisz, i wierzę temu, wreszcie jeden ruch ręki pańskiej, a mózg twój rozpryśnie się po tej posadzce. Źle się więc wybrałeś, piękny żołnierzu, z groźbami do mnie! Bądź pewny, że nie dam sobie nic wydrzeć, nic nie powiem. Gotuj się na śmierć!

— Jestem na nią przygotowany — ostrzegam wszelako pana, że cię to nie ocali. Pozwolisz pan, że mu wręczę małą kartkę papieru, która potwierdzi me słowa.

— Dobrze — i podniósł się, a odsuwając się od biurka z pistoletem w ręku, stanął przy oknie —

złóż pan tę kartkę na biurku, poczem wróć na swe miejsce i nie ruszaj się, błagam pana.

Uczyniłem jak kazał, a gdym usiadł na swojem miejscu nieruchomy, jak przedtem, markiz wziął pokwitowanie mecenasa U., przeczytał je parę razy, pomyślał przez chwilę i nakoniec, chowając pistolet do szuflady, rzekł oddychając głęboko:

— Masz pan słuszność wobec tego — i wskazał na kartkę — najlepiej będzie załatwić całą rzecz na drodze pokojowej. Przezorny pan jesteś i gdyby nie pańska przezorność, jużbyś był trupem, bo nie zwykł jestem ustępować, chyba w ostateczności. No, a teraz powiedz mi pan, czego chcesz odemnie.

— Chcę, ażebyś mi pan zrobił dokładną, pisemną relacyę, jakim sposobem i przy jakich warunkach uzyskałeś wpływ na regimentarza, oraz żebyś opowiedział o zniknięciu rubinu i tym to sposobem wrócił mi cześć i honor.

— Bardzo dobrze! mamy teraz pół do drugiej — i spojrzał na zegarek — pozostaje nam więc półpiętej godziny czasu. Jakkolwiek nie wątpię, że kosztem mego sumiennego opisu uzyskam zupełną wolność, przecież postawię niektóre warunki.

— Gotów jestem wypełnić je, jeżeli w niczem nie sprzeciwią się memu celowi.

— Napiszę panu, żądane sprawozdanie, ale o godzinie pół do szóstej poślesz pan do osoby, u której złożony jest list pański, że żyjesz i że takowy list może być zniszczony. Do czasu powrotu posłańca zostaniesz pan tutaj, następnie dozwolisz mi swobodnego odjazdu.

— Zgadzam się na to, ale pod warunkiem, że żądana przezemnie relacya będzie gotowa do godziny pół do szóstej i opieczętowaną odniesie posłaniec do mecenasa U., od którego odebrać ją tylko ja jeden będę mógł.

— Doskonale! nie mam nic przeciw temu. A teraz, kiedy już ułożyliśmy się na punkcie najważniejszym, pozwolisz pan, że się zaraz zabiorę do pracy.

Markiz wziął przed siebie kilka arkuszy papieru i siadł zaraz do pisania. Arkusz po arkuszu, zapisany cały, odrzucał markiz na bok i słychać było tylko skrzypienie jego pióra. Ja siedziałem nieruchomy na krześle. O godzinie 5 skończył swą pracę, zebrał arkusze, ponumerował je i rzekł:

— Teraz panu odczytam mą pracę.

Jakoż odczytał mi swą relacyę głosem pewnym acz pełnym przesady. Wpół do szóstej było, gdy skończył.

— Spieszmy się — zawołał — czyś pan zadowolony?

— Zupełnie.

— Więc nic nie pozostaje, jak tylko żebym ten dokument podpisał.

I wziąwszy znów pióro, nakreślił zamaszyście swe właściwe i niewłaściwe nazwisko, poczem posypał piaskiem, złożył papiery, wsunął je w kopertę, opieczętował i kazał mi napisać list do mecenasa U. według ułożonego programu.

Za chwilę potem służący pobiegł z tem wszystkiem do mecenasa. Tymczasem markiz, przeprosiwszy mnie, wyszedł, żeby się ubrać, a wróciwszy począł się pakować, sypiąc przytem mnóstwo dowcipów, żartów i głębokich myśli. W pół godziny wrócił służący z kwitem moim, jaki zostawiłem u mecenasa U., a ja takowy oddałem markizowi.

O godz. 7 punktualnie wyjechał markiz z Warszawy, a ja znużony wrażeniami tej strasznej nocy, wśród ślicznego poranku, pełnego świeżości po burzy, ostatni opuściłem domek w »Ogrodzie Róż«.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dziwują się ludzie, cego baby tak za mną ciągną, kiedy ja ani majentności zadnej nie posiadam, ani chałpy, ani morgów, ani zadnych inksych insości a jeno jedna uroda jest całem majontkiem mojem. Ale choćbym i brzyćki był, to nima się cemu dziwować, bo la baby:

»Choćby wół — byle buł«.

Latego nie trza się temu dziwić, ze za mną niewiasty wselakiego gatunku przepadają, ino bardzi się trza dziwować, cemu kuzda kobita ma się tak ku chłopu. Niby to źle całkiem nie jest, bo kuzda z nich, aby się lepiej przypodobać, to się i ocharuzy lepiej i roboty się rzetelniej ima, aby nie uchodzić za kopciuska i leniuska. Bez to wiele dzieuch, choć mają pod spodem brudne chadery i obstrzępane, to choć na wirch wdziwają lepse oblecenie, aby brudasów nie było widać. Bez to niejedna, choć ją gnaty bolą okrutnie i lenistwo jej pod ziobrami siedzi, to smyrdaręcami, aby uchodzić za pracowitą i bardzo robotną.

Tak jest przed weselem, ale po weselu często inacy. Niejedna z tych strojnisiów, to w małżeństwie chodzi zachlapana i brudna, a w garnusku brudu na palec, a strawę to tak warzy, jak dla jakich paciuków. Powiedz jej co o tem, to siędzie na ciebie z jęzorem, jaze ci się wszyćkiego odniechce i obrzydzenie cię bierze.

A nie inacy ma się rzec często i z dziwceńską pracowitością. Niejedna, która za dziwceństwa zdawała się taka robotna, to po weselu tak się rozleniwieje, ze jej kuzda robota psem śmierdzi. A ze się samej nic nie chce robić, to cały dzień wyrcy na chłopa:

— Idź tu, zrób to, przynieś tamto, podaj to:

I tak cięgiem, od rana do południa, a od połednia do wiecora, a jak pódzie spać, to w noc, choć bez sen, jesce mamroce i mamroce. Bez to nic dziwnego, ze niejeden chłop, zeby mógł, toby się nazad odzenił, ale trudno!

Teraz to późno, ale załuje okrutecnie, zem się nie kazał zrobić posłem, bobym był wydał taki przepis, coby nie wolno było nijak dzieuchom udawać przed ślubem, ale coby kuzda tak wyglądała, jaka jest w rzecywistości.

Rozgadałem się tyle o tem udawaniu, ale to rzec taka brzyćka, ze bez nią wiele złości jest, bo nie ino baby udają, ale są i poniektore chłopy, co się bez udawania nie obejdą.

Ze wszyćkich jednak ludzi, to najbardzi potrafią udawać moja gospodyni, którzy zawse padają, ze mi dobrze dają jeść, a tu po prawdzie im się ino tak zdaje, a ja tego nie cuję i chciałbym, aby coprędzy przysła święta wigilia, kiedy się to człek choć raz na cały rok jako tako podfutruje. Ale to do wilie jesce tydzień cały!...

Z TYGODNIA.

Zwołanie Sejmu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Sejm krajowy galicyjski zwołany zostanie 11 stycznia. Gdyby ugoda z Rusinami, która rozbija się o sprawę reformy wyborczej do Sejmu, nie przyszła do skutku, to kto wie, czy nie skończy się tylko na uchwaleniu budżetu. Rozważaną jest kwestya rozwiązania Sejmu, jednak rozwiązanie nie osiągnęłoby celu, gdyż przyszłe wybory też nie przyniosłyby dla ugody polsko-ruskiej lepszego rezultatu.

Uzupełniający wybór posła sejmowego. Dnia 7 b. m. odbył się wybór jednego posła sejmowego z obwodu krakowskiego w miejsce ś. p. Karola Czecza. Wybór odbył się w starostwie krakowskiem. Komisyi wyborczej przewodniczył Antoni hr. Wodzicki. Głosowało 76 wyborców. Jednomyślnie wybrany posłem minister skarbu Wacław Zaleski.

Wyodrębnienie Chełmszczyzny. Na porządek dzienny rosyjskiej Dumy państwowej (parlamentu) weszła obecnie sprawa wyodrębnienia pewnych części Królestwa Polskiego z mieszaną ludnością katolicką i prawosławną i utworzenia osobnej guberni chełmskiej. Uczciwi Rosyanie sprzeciwiali się energicznie tej ustawie; większość Dumy wszakże, złożona z zaciętych wrogów katolicyzmu i polskości, oświadczyła się za ustawą. Polscy posłowie krytykowali projekt ustawy, jako akt zemsty na Polakach z powodu masowego przechodzenia prawosławnych na katolicyzm. Wyodrębnienie Chełmszczyzuy jest dla ludności polskiej i katolickiej w tych powiatach srogim ciosem, wymierzonym przez prześladowczy rząd rosyjski.

Z zaboru pruskiego. Z powodu nowych wyborów do parlamentu niemieckiego, które odbędą się dnia 12 stycznia 1912, w całym zaborze pruskim agitacya przedwyborcza jest już w pełnym toku. — Fakt atoli, że urzędownie jeszcze terminu wyborów nie ogłoszono, ma dla ludności polskiej ten zły skutek, iż utrudnia jej akcyę wyborczą w okręgach, w których liczba Polaków nie dosięga 60 procent ogólnej ludności. W tych okręgach bowiem, na mocy nowej ustawy o zgromadzeniach, dopiero od dnia ogłoszenia terminu wyborów, aż do dnia wyborów, wolno obradować publicznie w języku polskim. Być może, iż głównie ze względu na to opóźnia rząd urzędowe naznaczenie terminu wyborczego.

Wojna włosko-turecka. Z Trypolisu donoszą o nowej walnej bitwie, jaką podobno stoczyli Włosi z Turkami. Włosi uderzyli w sile 18 tysięcy żołnierza na szańce tureckie i przedarli się aż pod same stanowiska tureckie, gdzie ich przyjęto morderczym ogniem z armat i karabinów. Wogóle Włosi powoli, lecz z ciężkim trudem i kosztem wielu ofiar posuwają się wgłąb kraju. O zajęciu wszakże znacznej jego części niema mowy w najbliższej przyszłości. Opór Arabów jest zacięty i nieustanny. A Włochów wojna, oprócz krwi ludzkiej, kosztuje miliony lirów. Turków nie kosztuje prawie wcale, bo wojsk nowych nie sprowadzają (czego zresztą uczynić nie mogą), a walczy z Włochami na śmierć i życie tamtejsza dzielna i okrutna zarazem ludność arabska. O okrucieństwach Arabów, jakich się dopuszczają na rannych Włochach, przychodzą przerażające wiadomości.

Z Persyi. Z miasta Tebris donoszą, że dnia 4 listopada odbył się tam olbrzymi wiec protestujący przeciwko postępowaniu Rosyi wobec Persyi. W wiecu brało udział około 30.000 osób. Przyjęto rezolucyę, potępiającą postępowanie Rosyi i wzywającą świat cywilizowany do obrony zagrożonych praw Persyi. Rezolucyę tę uchwalono wysłać do parlamentów różnych państw i do dzienników.

KRONIKA.

Od Redakcyi. Przypominamy, że najwyższy czas przysyłać prenumeratę na r. 1912. Im kto wcześniej nadeśle 4 K. 50 h., tem prędzej otrzyma Kalendarz obrazkowy „Roli“, a nam ułatwi tem bardzo pracę, której w pierwszych dniach stycznia będziemy mieli bardzo dużo ze względu na rozsyłkę „Podarków szczęścia“.

W 1 numerze z 1912 r. rozpoczniemy druk dwóch pięknych powieści. Pierwsza p. t.

Berezyna

będzie opisywała wojny i klęskę Napoleona w odwrocie z Moskwy; druga p. t.

Rozbitki z balonu

będzie ciekawym opisem nadzwyczajnych przygód odważnych podróżników. Obrazki umyślnie dla „Roli“ robione będą ją zdobiły w każdym numerze.

Utarczka z podjazdem szwedzkim. Za czasów króla polskiego Jana Kazimierza, długi czas prowadzili Polacy wojnę ze Szwedami. Często przychodziło między nimi a Polakami do mniejszych utarczek. Jednę z nich wymalował sławny malarz polski Józef Brandt. Podobiznę tego obrazu podajemy na stronie 5 »Roli«.

Zjazd powiatowy Towarzystwa Kółek rolniczych powiatu krakowskiego odbędzie się we wtorek dnia 19 grudnia 1911 przed południem w sali Towarzystwa rolniczego krakowskiego w Krakowie przy placu Szczepańskim Nr 8, II piętro, według następującego porządku: 1. Zagajenie. 2. Sprawa założenia w Krakowie składnicy handlowej Kółek rolniczych, refer. p. Stanisław Sadowski, starszy lustrator handlowy Zarządu Głównego. 3. Dyskusya i uchwały. W Zjeździe tym wezmą udział także Członkowie Kółek rolniczych z powiatów sąsiednich.

(W. P.) **Tęcze w zimie**. W Nowej wsi Czudeckiej w sobotę, dnia 9 b. m. wieczorem, wśród drobnego »kapuśniaczku« zajaśniały na niebie dwie wspaniałe tęcze. Niezwykłe to zjawisko w zimie odbijało się dziwnie na bezlistnych drzewach.

(J. K.) **Skutki pierwszego mrozu**. Okolica Oleska, która jest dość znana ze sadownictwa, ucierpiała wcale dotkliwie z powodu pierwszego mrozu, a to z tego powodu, że gęsta mgła spadła kroplami na drzewa, następnie obniżyła się silnie temperatura czyli ciepłota powietrza, wskutek czego gałęzie drzew pokryły się lodem. Wyglądały one jakby były uperlone, a przy blasku słońca świeciły różnymi kolorami. Z powodu więc lodu bardzo wiele konarów połamało się, a w niektórych sadach drzewa, przy lekkim podmuchu wiatru, wywracały się wraz z korzeniami. Kilkomorgowy las koło Oleska, zasadzony brzeziną, nachylił się do ziemi, jak nieraz zboże wytłuczone gradem. Wszystkie korony młodziutkich drzew pozginały się, nie mogąc wytrzymać ciężaru lodu.

(K. T.) **Powitanie proboszcza.** Wreszcie nadszedł dzień pożądany dla parafian w Wietrzychowicach. Oto w dniu 30 listopada przybył do naszej parafii nowy Proboszcz ks. Józef Lasak. Nowy nasz duszpasterz liczy lat 43, był już proboszczem w Jaślanach, w powiecie mieleckim. Stamtąd przybył do nas koleją do stacyi Żabno. Na jego przybycie czekała banderya w liczbie 53 ludzi w krakuskach z chorągiewkami o barwach białej i czerwonej. O godzinie 12 w południe przybył na miejsce nowy proboszcz.

Czekała nań cała parafia z procesyą. Przyjazd zapowiedziały dzwony. Po powitaniu z Administratorem ks. Janem Wielgusem i katechetą ks. Antonim Karczmarczykiem, ubrał się w kapę ks. Administrator i z krzyżem w ręku zaintonował pieśń »Serdeczna Matko«. W bramie, przybranej zielenią, z napisem w górze: »Witaj nam Pasterzu!« oczekiwał mówca, p. Franciszek Nowak, włościanin z Miechowic wielkich, który wygłosił mowę powitalną. Po odśpiewaniu »Kto się w opiekę« ruszył cały orszak do kościoła. Ks. Administrator oddał w opiekę całą parafię nowemu Proboszczowi. Ten ostatni powiedział między innemi od ołtarza: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Moi drodzy parafianie! Bardzo rozrzewniony jestem z powodu tak serdecznego przyjęcia. Oddaję was w opiekę Matce Boskiej i polecam was opiece Bożej«. Potem odśpiewał »Veni Creator« i pobłogosławił Przen. Sakramentem. Na tem zakończyło się uroczyste przyjęcie przez parafian nowego proboszcza.

Przygoda z niedźwiedziem. Niejaki Stefan Dżuryj, gospodarz w pewnej wsi na Huculszczyźnie w Galicyi, znany w całej okolicy kłusownik, wybrał się raz wieczorem na polowanie do lasów kameralnych i urządził sobie zasiadkę na jelenia. Gdy jednakowoż nazajutrz rano do domu nie wracał, zaniepokojona rodzina, przypuszczając, iż wydarzyło mu się jakieś nieszczęście, wybrała się do lasu na poszukiwania. Około godz. 4 popołudniu, gdy się już zmierzchać poczęło, żona Dżuryja, przechodząc wraz z synem gąszczami leśnymi, usłyszała nagle wydobywające się z głębokiego parowu, ciche jęki. Zszedłszy na dół i odgarnąwszy gałęzie gęstych krzaków, ujrzała ku swemu przerażeniu męża leżącego bez przytomności w kałuży skrzepłej krwi, przywalonego cielskiem ogromnego niedźwiedzia. Przerażona kobieta, odciągnąwszy przy pomocy syna niedźwiedzia, przekonała się, iż mąż ma lewą rękę zgruchotaną, a jeden z policzków zupełnie wydarty.



Gdy więc wszelkie usiłowania przyprowadzenia go do przytomności na miejscu nie wydały rezultatu, sprowadzono ze wsi podwodę, i przetransportowano rannego do domu, gdzie dopiero sprowadzony lekarz udzielił mu pierwszej pomocy i po długich zabiegach przyprowadził do przytomności. Przygodę swą opowiada Dżuryj w ten sposób: Gdy w podanym powyżej czasie przyszedł na stanowisko, ujrzał w świetle księżyca zbliżającego się ogromnego niedźwiedzia, mając jednak strzelbę tylko o jednej lufie, a w dodatku starą kabzlówkę, bojąc się więc, aby nie chybił, przypuścił zwierzę na odległość kilku kroków do siebie i wypalił mu wprost w pierś. Raniony śmiertelnie niedźwiedź ostatnim wysiłkiem dopadł strzelca, który broniąc się przed rozjuszoną bestyą, chwycił go wpół, a wśród walki stoczył się z niedźwiedziem ze znacznej wysokości do wąwozu, gdzie go żona znalazła. Padając, stracił przytomność, a niedźwiedź, który w trakcie tych zapasów, wskutek upływu krwi zginął, przykrył go swem cielskiem. Dżuryjowi utrata życia nie grozi, lecz prawdopodobnie nie tak prędko wybierze się po raz drugi na niedźwiedzia. Obrazek nasz przedstawia tę niebezpieczną przygodę z niedźwiedziem.

Zemsta przy muzyce. Na Węgrzech wydarzył się niedawno niezwykły wypadek. Oto w miejscowości Köbanya niejaka Marya Bendekowits, narzeczona właściciela dóbr Jdrzego Höchsta, odesłała swemu przyszłemu mężowi pierścionek. Odesłała, gdyż przestała go kochać. Młody człowiek zaczął w winie i muzyce szukać zapomnienia. Zaczem noce całe spędzał w kawiarniach i winiarniach, pojąc się oszałamiającą muzyką cygańską.



Przed kilku tygodniami pił znowu noc całą a usłużny prymas kapeli muzyki cygańskiej grał mu nad uchem rzewne a tęskne melodye. Nagle Höchst zerwał się — myśl jakaś błysnęła mu w głowie. Zapłacił rachunek i zaproponował całej kapeli, by wyszła z nim na ulicę. Tak się też stało. Pod oknami jego dawnej narzeczonej stanęli grajkowie, a muzyka zaczęła grać prześliczną pieśń. Piękna panna Marya ze snu się zerwała, otworzyła okno i wielce uradowana, słuchała pięknej muzyki. W tem nagle zabłysnął rewolwer i huknęły strzały. To wzgardzony kochanek zemścił się na swojej byłej narzeczonej. Ta ostatnia, ciężko raniona, odchorowała straszny wypadek, Höchst dostał się do więzienia.

(J. K.) **Nowa szkoła handlowa**. Po długich trudach i staraniach otwarto 1 b. m. krajową szkołę kupiecką w Brodach. Szkoła ta obejmuje klasę przygotowawczą i dwie klasy zawodowe czyli fachowe. Zapisy odbywają się co dnia. Dziś, gdy żydzi zawładnęli niemal całym handlem, byłoby rzeczą wskazaną i bardzo nawet pożądaną, ażeby do niej zapisało się jak najwięcej młodzieży katolickiej.

Tajemniczy zgon wieśniaka. Z domu we wsi Cezarówce przy Balinie wyszedł przed kilkunastu dniami włościanin tamtejszy J. Sikora, dla załatwienia różnych sprawunków w Chrzanowie i od tegoż czasu więcej nie wrócił. Zaniepokojona rodzina rozpoczęła natychmiast poszukiwania, które nie przyniosły jednak żadnego rezultatu. Dopiero w ubiegły czwartek ludzie, powracający z jarmarku w Chrzanowie, około lasu w Cezarówce zauważyli w głębokim rowie zwłoki jakiegoś mężczyzny, w którym następnie rozpoznano zaginionego Sikorę. Zawiadomione władze rozpoczęły natychmiast dochodzenia co do powodów śmierci, które są w toku. Obdukcya zwłok, przeprowadzona przez komisyę sądowo-lekarską z ramienia sądu powiatowego w Chrzanowie, nie wykazała żadnych obrażeń na ciele, tak, że morderstwo, lub też wogóle śmierć gwałtowna zdaje się być wykluczona. Stwierdzić należy, że zmarły był porządnym i trzeźwym włościaninem.

(J. K.) **Uroczysty wieczór**. Aby uczcić pamięć tych bohaterów, którzy targnąwszy się na cara, chcieli Ojczyznę miłą rozkuć z łańcuchów a polegli mężnie od kul i bagnetów sałdackich, urządził Sokół w Busku uroczysty wieczór, który rozpoczął się słowem wstępnem, wypowiedzianem przez druha Dziędzielewicza ze Lwowa. Dalsze punkta programu wypełniły wcale udatne piramidy chłopców szkolnych, śpiew dziewcząteк szkolnych, odczyt o roku 1831, deklamacya i sztuczka p. t. »Noc w Belwederze«. Piękne stroje występujących w niej osób, zgranie się amatorów, a przedewszystkiem patryotyczna treść sztuczki a w szczególności krótka, lecz nad wyraz ujmująca postać zakutego w łańcuch generała Łukasińskiego, który pod pręgierzem najsroższych tortur, nie chce wyjawić swych wspólników sprawy narodowej, zrobiły bardzo wielkie wrażenie. Nastrój — jak zwykle na takich wieczorach — był nader poważny. Publiczność, która dopisała, odeszła do domów pokrzepiona na duchu i niejeden rozpamiętywał w domu ów krwawy w dziejach naszych rok 1831, który mimo tylu wysiłków i tyle przelanej krwi męczeńskiej, nie wydał upragnionego owocu. I każdy odszedł z tą wielką nadzieją, że Bóg zginąć nam nie da, że z krwi naszych braci wstanie mściciel a wtedy prysną na wieki żelazne okowy.

(F. K.) **Cesarz niemiecki na Śląsku austr.** W niedzielę dnia 3 grudnia mieliśmy tu, na Śląsku, niezwykłego gościa. Bawił tu bowiem u hr. Larischa na zamku Solcy w Karwinie cesarz niemiecki Wilhelm II. Cesarz przybył samochodem ze Śląska pruskiego, gdzie był na polowaniu.

(F. K.) **We śnie wyskoczył z okna.** Niejaki Henryk Mak, młodzieniec mający około 20 lat, posługacz w restauracyi Safiera w Boguminie dworcu, wyskoczył w nocy na ulicę przez okno i spadł na znajdującą się przed domem latarnię. Mak uczynił to podczas snu. Śniło mu się, że go napadli złodzieje, i zrewolwerem gonił ich. Nieszczęśliwy odniósł ciężkie rany. — Odwieziono go do szpitala w Orłowej.

Spis kotów. Magistrat miasta Monachium w Bawaryi zaprowadził nieznany jeszcze nigdzie w świecie podatek od kotów, wychodząc z zapatrywania, że liczba kotów w Monachium zbyt wzrasta, że koty zanieczyszczają domy i że tępią ptaki śpiewające w ogrodach i parkach. Za to wszystko słuszna, żeby lubownicy kotów ucierpieli na kieszeni.



Odtąd każdy kot w Monachium musi mieć na szyi obróżkę z marką, świadczącą o zapłaceniu podatku, a koty bez marki mają być łapane i zabijane przez oprawców. Magistrat liczy na to, że skutkiem podatku liczba kotów znacznie się zmniejszy. Nasz obrazek przedstawia zabawną chwilę, jak w magistracie monachijskim wśród głośnego miauczenia kotów i jeszcze głośniejszego narzekania właścicieli odbywa się ten ciekawy spis.

(F. K.) **Pożar.** W środę spaliły się w nocy, w Boguminie-dworcu baraki robotnicze, które należały do firmy Gobiet. Pastwą płomieni padł murarz, niejaki Piosek, którego zwęglone zwłoki tam znaleziono. Przyczyna pożaru nieznana.

(F. K.) **Zabójstwo.** W niedzielę, dnia 3 grudnia, pogrzebaliśmy tu w Niemieckiej Lutyni, na Śląsku austr., niejakiego Piniora. Młodzieniec ten podczas muzyki, która się odbyła u p. Kolaczka, 29 listopada, już późno w noc wyszedł na pole. Tam czatował na niego Paweł Odra, z Galicyi, który go pchnął nożem w kark i przeciął mu tętnicę. Pinior zaraz zakończył życie. Zbrodniarz został aresztowany a zabitego odwieziono do kaplicy cmentarnej. — Pokazuje się znów do czego to prowadzą te muzyki.

Napad w pociągu. Rosyę śmiało nazwać można krajem napadów bandyckich. Nigdzie w Europie nie zdarza się tyle napaści z bronią na ludzi, wiozących z sobą pieniądze, nigdzie zbóje nie grasują tak bez ustanku, jak w państwie carów. Oto niedawno w pociągu, wyjeżdżającym z Kijowa, znajdował się w przedziale II klasy jeden z właścicieli dóbr ziemskich na Ukrainie. Jechał spokojnie, nie przeczuwając niczego złego.



Nagle otwarły się drzwi przedziału, a do przestraszonego obywatela przyskoczyło trzech bandytów z wymierzonymi rewolwerami. Obrona była niemożliwa, wobec czego bandyci, obrabowawszy go doszczętnie, spokojnie zniknęli wśród pól.

Katastrofa kolejowa. Z Olkusza w Królestwie Polskiem donoszą; W poniedziałek 27 listopada zaszła na rozjeździe Bukowno katastrofa, której ofiarą padło 26 robotników. Pociąg robotniczy, który wiózł piasek, oczekując na sygnał do odjazdu, stał na rozjeździe. Na końcu tego pociągu w dwóch wagonach znajdowali się robotnicy, należący do tego pociągu. W tym czasie ze stacyi Olkusz wysłano do Bukowna pociąg towarowy, przed którym wobec zajęcia linii, zamknięto wejście. Maszynista pociągu towarowego, ujrzawszy sygnał, usiłował pociąg zatrzymać, lecz uczynić tego nie zdołał, gdyż pociąg biegł po znacznej pochyłości, przytem śliskość szyn udaremniała wszelkie usiłowania. Parowóz uderzył całą siłą na wagony tylne pociągu roboczego i rozbił na drzazgi sześć wagonów wraz z dwoma wagonami, w których znajdowali się robotnicy. Ranionych zostało 26 robotników, z których trzech bardzo niebezpiecznie, 11 ciężko, reszta lżej.

Zamiecie śnieżne panują już na Litwie, na Rusi i Polesiu. Oto donoszą, że wskutek zamieci śnieżnych na linii warszawsko moskiewskiej i na kolejach poleskich i południowych, pociągi osobowe były po parę godzin na stacyach przetrzymywane. Pociąg kuryerski z Warszawy do Kijowa zatrzymano w Kowlu półtorej godziny.

Napad na dwór. Na majątek p. Grabińskiego, Walewice, w Królestwie Polskiem, napadli w tych dniach w nocy bandyci. Dostawszy się do pałacu udali się do gabinetu i tam usiłowali rozbić kasę ogniotrwałą. W sąsiednim pokoju leżała chora córka właściciela majątku; usłyszawszy szmer, wysłała służącą do ojca, który ma sypialnię na górze, z zawiadomieniem, że ktoś jest w gabinecie. P. Grabiński, uzbrojony w strzelbę i rewolwer, zeszedł na dół i w gabinecie spostrzegł bandytów, do których zaczął strzelać. Bandyci, zaskoczeni niespodziewanie, zabrali jednego z towarzyszów ciężko ranionego i na przygotowanym wozie uciekli przez pola, zostawiając w pałacu futra, drogie lichtarze i dużo przedmiotów srebrnych, przygotowanych do wyniesienia.

O nabożeństwo przed śmiercią głodową. Mieszkańcy osady Petropawłowskiej, zrezygnowani już na śmierć, udali się do biskupa prawosławnego Dyonizego, z prośbą o odprawienie ostatniego nabożeństwa przed niechybnie czekającą ich śmiercią głodową. Aż dreszcz przenika ze zgrozy, gdy się czyta o tych strasznych wypadkach, nieznanych w żadnem państwie Europy, tylko w Rosyi, która, zamiast starać się o dobrobyt swych ludów i na to łożyć pieniądze, miliony przeznacza na »ochrony« dla dostojników państwa, znienawidzonych przez naród i drżących o swoje życie. Ilekroć zaś rząd w istocie przeznaczy jakie sumy pieniężne dla dopomożenia ludności, to prawie zawsze urzędnicy najmniej połowę tego rozkradną.

Perscy oszuści. W Łodzi do pewnego właściciela sklepiku z wiktuałami przybyli dwaj mężczyźni, jak się okazało, Persowie, z których jeden, Abe Ogły, oświadczył, że wykopali skarb, składający się ze starych monet złotych. Przybyli w oczach sklepikarza rozwiązali worek, napełniony oblepionemi ziemią monetami, wielkości pół rubla. Po oskrobaniu błota okazało się, że to istotnie złote monety. Ogły zażądał 5000 rubli za skarb. Nabywca, nie mając na razie pieniędzy, wręczył 2000 rubli, zapewniając, że resztę zapłaci niebawem. Po wyjściu Persów łatwowierny kupiec przekonał się, że padł ofiarą oszustwa. Zawiadomił policyę, która Abę Ogły aresztowała. W mieszkaniu Persów znaleziono mnóstwo monet miedzianych, oraz zapasy proszku, którym powlekali monety, nadając im pozór starych monet złotych, Dwaj towarzysze Ogły, należący do szajki oszustów. zbiegli.

Niezwykłe zabawki na „gwiazdkę“. W Paryżu odbywa się corocznie przed Bożem Narodzeniem specyalna wystawa zabawek. Można tu w pomniejszeniu widzieć cały świat dorosłych; główną wszakże rolę odgrywają zabawki mechaniczne, dla sporządzenia których wysilają się mózgi fabrykantów, oczywiście z zastosowaniem najświeższych zdobyczy techniki. Zabawki te, to malutkie maszynki, które po nakręceniu sprężyny wykonują różne, czasem bardzo nieoczekiwane ruchy. Tu para sztukmistrzów prześciga się w wywijasach na ręku, tam znowu wyfraczony pan i bardzo piękna, zgrabna dama, ująwszy się jak do tańca, podryguje w takt maleńkiej katarynki. Dalej grupa robotników: jeden ryskalem kopie ziemię, drugi łopatą wyrzuca ją na wóz, trzeci przeciera żwir. I tak dalej i dalej. Wszystko tu się rusza, kręci, biegnie i skacze. Rzecz prosta, że poważną część tych zabawek stanowią maleńkie samochody i latawce rozmaitej konstrukcyi.

Nędza w Ameryce. Urząd Stanów Zjednoczonych, zajmujący się zestawianiem cyfrowem ludności, jej zatrudnienia, stosunków materyalnych itp. ogłosił sprawozdanie z ostatniego roku, przedstawiające w czarnych barwach stosunki wśród ludności zarobkującej, zwłaszcza w większych miastach, jak Nowy Jork, Chicago, Boston. Na ulicach i w zaułkach wielu ludzi ginie poprostu z głodu, nie mogąc znaleźć pracy. Trzy miliony osób nie posiadają zajęcia i środków do życia, zaś 4 miliony ludzi korzysta z publicznych zakładów dobroczynnych. W jednym tylko roku wyrzucono na bruk w jednej dzielnicy Nowego Jorku 60.463 rodzin, gdyż nie miały z czego zapłacić czynszu.

Stracenie milionera. Nie często zdarza się milionerom być oddanym pod topór lub stryczek katowski. Zdarzyło się to niedawno w Milwaukee, w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. — W sierpniu roku bieżącego milionowy bankier Henryk Clay-Beattie, został skazany na śmierć za zamordowanie żony. Podawano prośbę o ułaskawienie, lecz prezydent Taft ją odrzucił. Stracenie bogacza odbyło się 24 listopada.

Koronacya królestwa angielskich w Indyach. Królestwo angielscy stanęli już na ziemi indyjskiej. Z miasta Bombaju, w Indyach, telegrafują, że na szczególną uwagę zasługuje bardzo ładna scena z przyjęcia pary angielskiej. Mianowicie ustawiono 28 tysięcy dzieci, które miały powitać parę królewską. Dzieci chórem zaśpiewały hymn angielski, gdy zbliżała się para królewska. Sto dziewcząt indyjskich wykonało taniec indyjski w obecności pary królewskiej.

Chińskie egzekucye. Chińczycy odznaczają się w dziedzinie katowania największą pomysłowością. Istnieją u nich wynalazcy narzędzi do katowania więźni. Chińczycy są dzisiaj narodem najokrutniejszym; z całą przyjemnością przypatrują się męczonym i zabijanym skazańcom. Najstraszniejszą karą jest jeszcze dziś istniejące wieszanie na słupku, przyczem kat leje ze spokojem skazańcowi na głowę to po kropelce roztopionego ołowiu, to znów po kropelce zimnej wody. Katowany dostaje zwyczajnie z bólu pomięszania zmysłów, a później kona wśród strasznych męczarni.



Nie rzadkie jest też gromadne ścinanie skazanych na śmierć przestępców. Ceremonia odbywa się uroczyście, przy śpiewie zgromadzonego ludu i wojska. Egzekucya taka odbyła się cztery miesiące temu w Jangtse, gdzie ścięto jednego dnia 24 rozbójników za napad na łódź podróżną angielskiego chemika W. J. Murray'a mieszkającego w mieście Hongkong. Kat urzędujący w Jangtse, posiadający bajeczną wprawę, odłączył od tułowia 24 głów rozbójników, w przeciągu 22 minut. Człowiek ten ścina rocznie przeszło 500 głów. Obrazek dzisiejszy przedstawia nam dwu aresztantów, skazanych na t. zw. po polsku pręgierz. Na szyje zakłada się im jarzma dębowe, okute żelazem, ważące 30—35 klgr., które nieszczęśliwi muszą dźwigać najmniej 36 a czasem i więcej godzin. Jest to męka straszna, bo katowany nie może ani usnąć, ani w żaden sposób ulżyć sobie ciężaru.

Jak zapobiegać rdzewieniu narzędzi rolniczych? Często bywają narzędzia rolnicze przez nieuwagę wystawione na deszcz, śnieg itp. zmiany powietrza i w bardzo krótkim czasie rdzewieją. Aby temu zapobiedz, jest łatwy sposób, powleka się narzędzia żelazne cienką warstwą łoju lub sadła z żywicą. Przyrządza się tę mieszaninę w ten sposób, że topi się trzy części sadła z 1 częścią żywicy i tą mięszaniną naciera się narzędzia, z żelaza lub stali, za pomocą szmaty lub szczotki. Przedmioty tak nasmarowane dostatecznie są zabezpieczone od rdzewienia, a zabezpieczenie to polega na niedopuszczaniu powietrza do danego przedmiotu. Taką maść gospodarz powinien mieć w zapasie, aby przed nadejściem zimy narzędzia rolnicze dobrze wysmarować.

50 lat telefonu. W roku bieżącym upływa lat 50 od ustawienia pierwszego aparatu do rozmowy na odległość; był on niepodobny do tego, co dziś nazywamy telefonem. W roku 1861 Filip Reiss z Friedrichshof pod Hamburgiem, w Niemczech, wytworzył przyrząd, chwytający głos i odtwarzający go na znaczną odległość, lecz słowa wychodziły zeń niewyraźnie. Inni wynalazcy usiłowali ulepszyć aparat Reissa i nadać mu zastosowanie praktyczne, lecz dopiero w czternaście lat potem, w r. 1875 Amerykaninowi, Grahamowi Bell, udało się zbudować to, co nazywamy dziś telefonem: aparat, przesyłający głos ludzki wyraźnie; był to jeszcze przyrząd jednostronny, czyli że na jednej stronie można było tylko mówić, po drugiej tylko słyszeć. Dopiero w r. 1878 Anglik, M. Hughes wynalazł aparaty, dzięki którym po obu stronach drutu można i mówić i słyszeć. — Obecnie na powierzchni świata jest parę milionów stacyj telefonicznych, a długość drutów, opasujących ziemię, wynosi kilkakroć sto tysięcy kilometrów.

Jak się pogodziła woda z ogniem. Ogień chciał zawrzeć raz ugodę z wodą. Więc rzecze: — Zbliż się, ty wrogi żywiole! — Mam silną wolę. — Której szczerości dowiodę, — Położyć koniec tym wiecznym z tobą niesnaskom! — Uradowana niby wielce łaską, — Woda z kałuży pobliskiej — Padła w ogniste uściski; — I choć z początku — Skutkiem wrzątku — Dymu obłokiem buchnęła — Gdy ogień w zimne swe objęcia wzięła, — Zanim minęło jedno oka mgnienie, — Już zagasiła płomienie, — Skacząc wesoło po drzewie — I stłumiła zarzewie. — Darmo przed zdradą ogień się broni, — W iskierki się rozprasza, po węgielkach goni, — Słysząc wśród spaleniska, zaszeptała woda: — Oto ci ze mną ugoda!

Handel mięsem ludzkiem. Rzecz, której poprostu trudno dać wiarę, gdyby nie fakt, że podają ją najpoważniejsze dzienniki zagraniczne. Oto, jak wykryto, w stolicy Japonii, istniał skład solonego mięsa ludzkiego i marynowanych języków. — Handel prowadzony był od kilku lat. Mięso pochodziło przeważnie z nieboszczyków a kupowali je głównie Chińczycy jako lekarstwo! Policya aresztowała całą służbę zakładu pogrzebowego. Odkrycie handlu ludzkiem mięsem nastąpiło przypadkowo. Mianowicie chorzy, którym podawano ten środek leczniczy, uskarżali się, że nie pomaga on na żadną chorobę, lecz przeciwnie, po spożyciu lekarstwa pogarsza się stan chorego. Władze przedsięwzięły zbadanie wstrętnego lekarstwa i wykryły, że jest to ciało ludzkie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Józef Jarmuła w Z.: Za nadesłane prace serdecznie dziękujemy; są one, jak zwykle, dobre. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Zagadki otrzymaliśmy i później umieścimy. — Jan Bylica w P.: Wierszyk otrzymaliśmy — bez poprawek jednak nie może być umieszczony. — Andrzej Starzyk w R.: W Warszawie wychodzi »Biblioteka dzieł wyborowych«. Adres Administracyi: Warszawa ulica Nowy Świat Nr. 47. — Michał Koża w T.: Daj Boże, aby się życzenia spełniły! Za przyjaźń serdecznie dziękujemy. — Stanisław Hulak w S.: Obydwa wierszyki niezłe, ale jeden majowy a drugi jesienny — muszą więc zaczekać. Podziękowanie odesłaliśmy p. Bełdowskiemu. O cennik poprosimy. — Kazimierz Piękoś w C.: Pierwszeństwo musimy dać utworóm, które dawniej zostały nadesłane, poczem i na Pańskie przyjdzie kolej. — Kazimierz Tokarski w M.: Otrzymaliśmy i będzie ale później. — Julia Maziarzowa w Z.: Oj nieprawda! nie! Nasze Czytelniczki bez Maćka żyćby nie mogły, tak go ukochały. — Józef Wojnarowski w Szcz.: Musieliśmy niektóre wyrażenia zmienić, jak Pan widzi. — Jan Oliwa w K.: Nadesłany wiersz w miarę miejsca zużytkujemy. — Walenty Pasierb w Cz.: Utwory zachowujemy, bo idą najpierw wcześniej nadesłane. Wiersze okolicznościowe, o ile czas minął pójdą na przyszły rok. — Wiktor Bułka w M.: Otrzymaliśmy i umieścimy. — Paweł Marcinek: Wzajemne serdeczne pozdrowienia i życzenia. — Bętkowski Jan: Ma Pan słuszność, że więcej dajemy niż bierzemy; przyzna to każdy rozsądny człowiek, obliczywszy koszta wydawnictwa. — Paweł Rusek z K.: Numeru 16 już nie mamy. — Jan Moś z Cz.: Adres już dawno poprawiony. Żądane numera wysyłamy. Gdyby który numer nie doszedł, proszę zaraz reklamować. Uznajemy w Panu gorliwego zwolennika »Roli« i serdecznie dziękujemy za jednanie prenumeratorów. Tembardziej nam przykro, że numera z winy poczty nie dochodzą. — Edward Rduch z Kr.: Numera wysyłamy od chwili, gdy się Panu należały; kalendarz również wysłaliśmy. — Teodozya Nowak: Prosimy o przysłanie artykułu. — Kazimierz Szpunar Cieszy nas uznanie dla »Roli« dziękujemy za słowa życzliwe. — Józef Durak: Numera żądane wysyłamy. Początku powieści »U stóp Zbawiciela« nie posiadamy. — Radziszewski Winc. z L.: Na konkurs przyjmuje się krótkie powiastki, lub też baśnie. Proszę przysłać. Numer żądany wysyłamy. — Wojciech Harabasz z W.: Nie posłaliśmy kalendarza Panu, gdyż wysyłamy go tylko prenumeratorom na cały rok 1912. — Walenty Wójcik z K.: Ma Pan prawo do losowania. Cieszy nas, że Pan kocha »Rolę«. — Krupa Jakób z B.: Należy się 10 hal. — Jan Dudar w B.: Za obszerny list jesteśmy wdzięczni, gdyż my chcemy żyć z naszymi Czytelnikami jednym duchem. Rzeczywiście i my to z bólem serca stwierdzamy, że niektórzy bracia nasi włościanie uznają jeszcze gazetkę za pańską rzecz, ale to ciekawe, że równocześnie ci sami wódkę uznają za chłopskie szczęście. Jestto dzieciństwo, oddawać komuś rzecz dobrą a sobie zostawiać truciznę. Chwała Bogu jednak, że tak myślących już coraz mniej. Liczba czytelników gazet wśród włościan wzmaga się bardzo i mamy tę błogą nadzieję, iż czas ów niedaleki, kiedy żadnej chaty polskiej nie będzie bez gazetki. Inaczej nie chciałoby się pracować i ponosić tak wielkich kosztów na wydawnictwo. — W sprawie kupna gruntu niech się Pan zwróci wprost do Dyrekcyi Banku ziemskiego w Łańcucie a ona Panu chętnie rady udzieli i pomoże. Za życzliwe słowa serdeczne dzięki. — Piotr Lipowiak w L.: Nareszcie! przecie się Pan odezwał, a już stęskniliśmy się. — Józef Kobylański w C.: Otrzymaliśmy, ale kroniki spóźniono do tego numeru, będą w przyszłym. — Jan Fornal w W.; Kronika będzie w przyszłym numerze. — Tomasz Zajdel: Wiersz o jesieni grubo spóźniony — chyba w przyszłym roku.

Potwierdzenia prenumeraty za rok bieżący:

PP: Banaś Jan z B. 2·50 K. — Midowicz Janina z S. 2 K. Wałkiewicz Stan. z S 2 K. — Polek Michał z W. 2 K. — Skórski Józef z S. 2 K. — Molczyk Jan z A. 2 K. — Mokrzycki Józef z K. 1 K. — Gielowa Emilia z S. 1 K. — Jaszczowski W. z S. 1 K. Wieczny Ant. z Z. 2 K. — Mitera Stan. z C. 2 K. — Tesarczyk Franc. z K. 2·25 K. — Kadlec Franc. z C. 2 K. — Hajduk Józef z M. 2 K. — Zawiślak Wład. z G. 2·50 K. — Kapturkiewicz Ant. z D. 2 K. — Pocica Wojciech z K. 1 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 12 grud:.

Pszenica	Kor.	11·70	do	12·—	za	50 kg.
Żyto	„	10·—	„	10·45		„
Jęczmień	„	9.20	„	9·90		„
Owies	„	9 —	„	9·50		„
Otręby pszenne	„	6·85	„	7·—		„
Otręby żytnie		7·10	„	7·20		„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 12 grudnia:

Buhaje	Kor.	120	do	300	za sztukę
Woły	„	250	„	390	„
Krowy	„	140	„	303	„
Jałówki	„	112	„	236	„
Cielęta	„	22	„	80	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie bita waga)	„	124	„	140	za 50 kg

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożył S. Stolarzewicz).

Drugie i pierwsze jest to częścią drzewa,
A pierwsze z trzeciem sportowiec używa.
Drugie i trzecie w domu je chowacie,
Gdyż z nich pożytku dosyć wiele macie.
Trzecie wraz z czwartem służą za podpory,
Czwartem i trzeciem zalepiacie pory.
Całość, to środki są odurzające,
Dla organizmu bardzo szkodzące.

2. SZARADA.

(Ułożył Jan Bożek).

Pierwsze, pół drugie, kto się w jakim mianuje,
Pierwsze i ostatnia, bez wody się często znaj-[duje,
Ostatnia głoska, pół drugiej i trzy z ostatniej [rzekę główną wskazuje,
A całość imię świętego biskupa mianuje.

3. ZAGADKA.

(Ułożył Jan Szypuła z H. K.).

Zielona jak łączka,
Biała jak mączka,
Ma ogonek jak myszka.

4. SZARADA.

(Ułożył Adam Rzeźwicki z Bośni).

Pierwsze z drugiem głos mianuje,
Drugie w domach się znajduje,
Pierwsze to zwierz zaginiony,
Całość: głos na wszystkie strony.
Pierwsze zaś wstecz wymówione
Żołnierzom jest ulubione,
Drugie znów wstecz napisane
W gospodarstwach używane.

5. PRZEPLATANKA.

(Ułożył Jan Raszyk z Ł.)

Da, doł, ki, kim, ko, kto, nie, pie, pod, sam, w, wpa.

Z powyższych zgłosek utworzyć znane polskie przysłowie.

6. SZARADA.

(Ułożył Józef Waszek z J.).

Pierwszy zwrotny ubiera
Twoją główkę anielską,
Drugi trzeci rozpiera
Zwłaszcza z marką angielską;
Cały jedna i zbiera,
Gotóweczkę, nie zielsko.

7. SZARADA.

(Ułożyła Julia Boratyńska z R.).

Pierwsze i trzecie wszystkie trucizny mają.
Drugie z pierwszem tak żydy nas nazywają.
Drugie z trzeciem po ślubie ujrzycie.
Całość szukajcie a w lesie znajdziecie.

8. SZARADA.

(Ułożyła Zofia Pawłowska z Z).

Pierwszą bez troski znajdziesz w liter rzędzie,
Zaś pierwsza druga, jest zbyt blada
Lub też u kobiet nader ciemna będzie,
Pomoże na to aptekarska rada;
Druga i trzecia zawsze ci dolega,
Gdyś jej nie spłacił a termin ubiega.
Całości pewnie nie zbraknie nikomu,
Znajdziesz ją łatwo niemal w każdym domu.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 23 grudnia 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 49 *Roli*: 1. Zagadka: **trumna,** 2. Zagadka: **krzyż,** 3. Szarada: **ananas,** 4. Szarada: **ulewa,** 5. Szarada: **barany.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: A. Warchoł z Z., M. Synowcówna z Ś., A. Bezokówna z K. M., J. Bożek z J, A. Jesionek z Ch., J. Stach z J., A. Nowak z H., Mateusz Skałuba z H., J. Hirszberg z K., Karol Powroźniak z S, A. Żebrok z B., W. Flis z L., Rudolf Kula z M. K., A. Szarek z S. W., J. Świątek z P., H. Łukawski z J, F. Teper z M. K., J. Łopatka z J., Zofia Pawłowska z Z., J. Szypuła z H. K.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Dzieci w dawnych czasach*** Wł. Bełzy wylosował p. **Rudolf Kula** z M. K., zaś drugą p. t. ***Z wiejskiej niwy*** E. Zechentera p. **Adam Jesionek** z Ch.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.